Rok XV. We Lwowie, dnia 29. marca 1907. Nr. 13.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna 11 Kor.
półroczna 6 „
kwartalna 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Ks. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 20 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

W dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

„Wierzymy, Panie, o wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił, jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie,
Wierzymy Panie!“ (Ujejski »Akt Wiary«).

Tak — my nie przestaliśmy wierzyć w ciągu tej niewoli stuletniej, że to czas pokuty tylko i próby, że ucisk ten się skończy, że Bóg nas podźwignie z upadku i wielkie nam jeszcze pozwoli spełnić na ziemi posłannictwo! Jakkolwiek grube nas otaczały i otaczają ciemności, nie tracimy nadziei, pomnąc, że dotąd nie zginął żaden naród katolicki, zginęły tylko pogańskie, jak owi Prusacy, którzy odrzucili naukę św. Wojciecha i zadali mu śmierć męczeńską i dlatego podzielili los tylu innych szczepów słowiańskich, co zamieszkiwały kraje, dziś niemieckie, aż do ujścia Łaby. Zburzono ich świątynie, wycięto gaje ich bogów, zgładzono cały naród z powierzchni ziemi, — zostało tylko — rzecz dziwna — na świecie jego imię, które sobie przywłaszczyli jego tępiciele, przodkowie dzisiejszych Prusaków. Może to była wróżba, że i oni utracą wiarę prawdziwą, że wrócą do błędów pogaństwa i z podobną zaciekłością iście pogańską będą niegdyś siekli ciała narodów, jak tamci posiekli ciało św. Wojciecha! Polska zaś zawdzięcza piękną swoją przeszłość, liczne swoje zwycięstwa i tryumfy, swoje zdobycze cywilizacyjne tej przedewszystkiem wierze Chrystusowej, którą ochotnie przyjęła przed 9-ciu wiekami i dopóki ją zachowa, nie mogą jej zgładzić największe świata potęgi. Nie odebrała nam otuchy i nadziei ani rosnąca ustawicznie siła nieprzyjaciół, ani wzmagające się naszych sił osłabienie. Dziwne są drogi Boże: nieraz mogłoby się zdawać, że On już nie czuwa na wyżynach niebieskich, że nas całkiem opuścił, że wydał nas na pastwę złości ludzkiej i szatańskiej; — ale kiedy już wszystko wydaje się straconem, gdy gwiazdy wszystkie pogasły i już nie widzimy żadnego środka ratunku,— wtenczas dopiero On zaczyna działać i nagle zmienia się wszystko i po strasznych burzach znowu nas budzą jasne promienie słoneczne do nowego życia. Wszakże i w tem stuleciu najcięższej niedoli nie brakło nam wszelkiej pociechy i świtało nam nieraz zaranie lepszej przyszłości: bywały chwile jaśniejsze, w których nam wolno było odetchnąć swobodniej, w których mieliśmy świadomość, że jeszcze naród nasz żyje i do wyższych jest powołany przeznaczeń. Wolno nam było wśród ludów rzeszy rakuskiej wyznawać się Polakami, kształcić się w języku Ojców, działać dla ojczyzny na wszystkich polach życia publicznego i uczynić wiele dla urzeczywistnienia wzniosłej myśli chrześcijańskiej braterstwa narodów, która była jedną z myśli przewodnich naszej historyi: nigdy bowiem Polska nie narzucała swego panowania innym narodom, żadnego też nie wytępiła, ale braterskim związała się węzłem z Litwą i Rusią.

Nową, wielką pociechę i zadatek czasów szczęśliwszych przyniósł nam początek wieku XX, w którym tak niespodziewanie spełniły się na gnębicielach naszych przepowiednie naszych poetów: „Bijcie ich słowem — inni pobiją ich mieczem!“

„Jeśli do was, z daleka, od wolnych narodów
Aż na północ zalecą tę pieśni żałosne
I odezwą się z góry nad krainą lodów:
Niech wam zwiastują wolność jak żórawie wiosnę!“

A więc „sursum corda!“ zaśpiewajmy z radością w dzień Zmartwychwstania Pańskiego, wierząc, że kto w Nim położył całą ufność swoją „nie będzie zawstydzon na wieki!“

Program stronnictwa katolicko-narodowego.

I. Stowarzyszenie katolicko narodowe we Lwowie. — Kwestya żydowska.

Siedem już lat upływa od czasu, jak zawiązało się we Lwowie (29 czerwca 1900) »Stowarzyszenie katolicko-narodowe«, które z różnych powodów nie spełniło dotąd pokładanych w niem przez inicyatorów nadziei: brakowało mu ludzi pełnych zapału i energii, Luegerów i Liechtensteinów, nie zdołało wzbudzić zajęcia i sympatyi w szerszych kołach, a co najważniejsza: ono powstało w czasie, w którym ogół katolicki nie rozumiał potrzeby takiego stowarzyszenia a nawet spoglądał na nie z ufnością i niechęcią. „Na co nam stronnictwa katolickiego?“ — mówią nam i dzisiaj „wszak wszyscy jesteśmy katolikami — z wyjątkiem naszych współobywateli wyznania Mojżeszowego — a z tymi walczyć nie mamy ochoty, — tych chcemy raczej miłością do siebie przygarnąć i dobrymi zrobić Polakami!“ Partya konserwatywna i zamożniejsze mieszczaństwo obawiały się z naszej strony demagogii antysemickiej; warstwy zaś najniższe wolały wierzyć ludowcom i socyalistom. Nadto można było liczne przytoczyć przykłady dowodzące, że agitacya polityczna w imię haseł katolickich bywała już nieraz albo bezpłodną albo nawet szkodliwą.

Dziś jednak, w dobie wyborów powszechnych otwiera się katolikom szersze daleko pole działania. Dziś zrozumieli już i ci panowie, którzy dotąd łatwo zdobywali mandaty przy pomocy starostów i kahałów, że muszą iść w lud z programem katolickim i stanąć pod sztandarem demokracyi chrześcijańskiej. Dziś warto przypomnieć program, przyjęty po dojrzałym namyśle i wyczerpujących dyskusyach przez »Stowarzyszenie katolicko-narodowe«.

W pierwszej części tego programu zestawione są główne „zasady stronnictwa“.

1. „Religia jest najdonioślejszą ze spraw publicznych, ponieważ wnika najgłębiej we wszystkie stosunki społeczne. Zadaniem naszem będzie pielęgnować i popierać zasady katolickie według możności i środkami, jakie nam wskazuje Kościół i miłość chrześcijańska. Wszelkie prześladowanie człowieka dla jego przekonań religijnych potępiamy stanowczo«.

2. »Życie publiczne należy oprzeć na moralności chrześcijańskiej«.

A więc stronnictwo katolicko- narodowe nie myśli bynajmniej rozpoczynać walki wyznaniowej ani rozbudzać nienawiści przeciwko żydom i nie chce żadnemu z nich najmniejszej wyrządzić krzywdy. Niech oni spokojnie w kraju naszym pracują i zarabiają na życie niech tu znajdują schronienie, ilekroć ich zmuszą prześladowania i gwałty do ucieczki z Rosyi albo Rumunii. Jeżeli cierpią głód i niedostatek, należy im się pomoc, chociaż w pierwszym rzędzie obowiązani jesteśmy wspierać swoich braci w Chrystusie według słów św. Pawła: »A przeto póki czas mamy, czyńmy dobrze wszystkim a najwięcej domownikom wiary« (Gal. VI. 10).

Ale z drugiej strony jest powinnością naszą bronić ludu naszego przeciw zgubnemu wpływowi innowierców, przeciw lichwiarzom i innym wyzyskiwaczom, przeciw złym następstwom ustaw »liberalnych« i bezwyznaniowych, przeciwko groźnej dla przyszłości naszej przewadze, jaką sobie zdobywa nad nami żydowstwo. Nie możemy przedewszystkiem się zgodzić na takie pojęcie równouprawnienia, żeby katolicy byli zmuszeni oddawać swoje dzieci na wychowanie żydom w szkole ludowej i średniej, żeby ich sądzili żydzi, żeby mieli nad nimi władzę jako starostowie i wyżsi urzędnicy, żeby wogóle w całem życiu społecznem i towarzyskiem nie czyniono żadnej różnicy między żydem a katolikiem, żeby ta różnica straciła w oczach ludu wszelkie znaczenie, żeby dalej w interesie żydów i bezwyznaniowców nie pozwalano urzędnikom i służbie pocztowej, młodzieży handlowej i wielu innym spełniać w niedziele i święta swoich obowiązków religijnych itd.

A właśnie tego żądał niedawno wśród hucznych oklasków znacznej podobno części posłów sejmowych jeden z najbardziej wpływowych przewódców narodu żydowskiego, Dr. Natan Loewenstein w mowie bardzo zręcznej i posiadającej wielkie zalety retoryczne, której tu nie możemy pominąć milczeniem, bo wiemy, jakie wrażenie czynią na wielu katolikach naszych popisy krasomowcze tej treści i tendencyi. Wszak Dr. Loewenstein przemawia »nietylko jako poseł żydowski... ale przedewszystkiem (?) jako Polak, który, stojąc na gruncie duchowej jedności wszystkich ziem polskich, uważa sprawę żydów w Polsce za jedno z najważniejszych zagadnień polityki narodowej i społecznej doby współczesnej« (w czem zupełną ma słuszność, — tylko że my to zagadnienie pojmujemy całkiem inaczej!).

Kiedy my chrześcijanie patrzymy ze smutkiem i trwogą na ciągle rosnącą przewagę żydów na wszystkich polach gospodarstwa krajowego, kiedy wszystkim nam dobrze wiadomo, że cały prawie handel i przemysł jest w rękach żydowskich, że coraz większa ilość domów, kamienic i dóbr ziemskich, przechodzi w ich posiadanie, że ludność nasza staje się coraz bardziej od nich zawisłą, że musi iść do nich na służbę i znosić od nich ciężkie upokorzenia, a co gorsza, traci w tej służbie wiarę i czystość obyczajów; — skarży się gorzko ich poseł, że my im odbieramy możność zarobkowania i doprowadziliśmy ogromną ich większość do najstraszniejszej nędzy! Trudno temu uwierzyć a przecież czytamy w jego mowie zdania następujące, które tu przytaczamy dosłownie:

»Postęp kraju najbiedniejsze warstwy ludności żydowskiej opłacały swoim bytem. Budowano koleje—żyd furmankę tracił; tworzono organizacye zbytu produktów rolnych — zanikał handel pośredniczący; — indem-

nizowano propinacyę — tysiące rodzin żydowskich doznały dotkliwego pogorszenia warunków bytu; ukrajowiono drobną sprzedaż soli — żyd stracił zarobek.. Ustawa o spoczynku niedzielnym... zniewala ludność żydowską świątkować 60 godzin» (?). Zakładanie sklepików chrześcijańskich ma zdaniem mowcy na celu »zniszczenie« żydów; jest to „agitacya niezdrowa“ i godna potępienia, co więcej: «Wszelkie uczucia religijne właściwe człowiekowi nowoczesnej kultury oburzają się na to łączenie sklepiku z epitetem »chrześcijański«. Sklepik i chrześcijaństwo! co one mają wspólnego? Czy ci, którzy używają takiej firmy, nie uświadamiają sobie tego, że tem połączeniem poniżają majestat wiary? (!).. To jest propaganda nienawiści, zmierzająca do pogorszenia bytu drugich« (!). Pewnej fabryce odebrano w jednym z zakładów krajowych dotychczasowe dostawy, skoro właściciel sprzedał ją żydom. Poseł okazał się jednak tak szlachetnym, że nie wymienił nazwisk »winnych« (?!), żeby ich nie postawić pod pręgierzem opinii publicznej! Kupcom żydowskim odmawia się »równych warunków produkcyi i zbytu«, żydom odbiera się dochody z funduszu propinacyjnego (?) i kraj patrzy obojętnie na »bezdenną nędzę« 800 000 ludności!

A tymczasem, »zadaniem polityki socyalnej jest nieść pomoc najsłabszym i najbiedniejszym, którzy w walce o byt sami ostać się nie mogą« (bardzo słusznie, tylko że tymi najsłabszymi nie są żydzi, którzy z podziwienia godną solidarnością wyzyskują nasz lud nieoświecony, nieradny, nie znajdujący kredytu i najwięcej potrzebujący opieki!) Powinniśmy więc zdaniem mowcy po 1-e): oprzeć poltykę gospodarczą kraju »na szerszym, liberalniejszym poglądzie, któryby nie czynił różnicy pod względem wyznania«, 2-e) udzielać stypendyów młodzieży żydowskiej, pragnącej się poświęcić przemysłowi, handlowi i rolnictwu; 3-e) uczynić jej dostępnymi wszystkie urzędy, bo „każdy żyd urzędnik, chociażby był tylko woźnym Wydziału krajowego, oddziaływa na swoje otoczenie, staje się środowiskiem, około którego krystalizuje się prawdziwie poczucie obowiązku i powinności obywatelskiej“ (?); 4-e) zapełnić nimi sądy, bo teraz „przyjmuje się już wprawdzie żydów do sądu, ale w pewnym tylko procencie“! 5-e) sprzedawać im dobra ziemskie bez żadnych trudności, bo dziś są jeszcze obywatele, którzy się przedtem wzdrygają; 6-e) »Z politycznem równouprawnieniem muszą iść w parze także społeczne i towarzyskie«.

Czyli innemi słowy: nasza polityka dotychczasowa wobec żydów jest szkodliwa i oburzająca, bo żaden z nich nie jest ani starostą, ani prezydentem sądu, ani namiestnikiem ani nawet urzędnikiem banku krajowego (kiedy przecież wszystkie inne banki są już w ich rękach!) a pośród właścicieli dóbr ziemskich i dzierżawców jest dopiero 115.000 żydów! — O ileż rozumniej i szlachetniej postępują sobie inni, np. bojarzy i ministrowie rumuńscy, którzy tak piękną w swoim kraju zaprowadzili gozpodarkę i dali nam wzór do naśladowania! Wydzierżawiają oni dobra swoje żydom, którzy dzielą je na małe parcele i te odstępują chłopom jako poddzierżawcom, biorąc od nich czynsze trzy razy większe. W niektórych okolicach Rumunii są wyłącznie tylko żydzi dzierżawcami, w innych stanowią dziewięć dziesiątych ogółu dzierżawców. Chociaż więc tam nie dano jeszcze żydom równouprawnienia, to przecież w praktyce wielu z nich robi interesy lepsze niż ich współwyznawcy w Galicyi, bo rząd i bojarzy oddają im ziemię bez żadnych skrupułów; — źle się tylko stało, że nie umieli przeszkodzić krwawym rozruchom, do których porwali się chłopi, doprowadzeni wyzyskiem do wściekłości.

Wiemy dobrze, że i u nas w Galicyi nie bez powodu skarży się lud wiejski na właścicieli i dzierżawców żydów; skarżą się na nich nawet kupcy żydowscy po miasteczkach, bo im bez porównania mniej dają zarobić niż nasi obywatele, — a jednak ich poseł wyraża głęboki żal z powodu, że jeszcze część szlachty naszej nie chce swej ziemi sprzedać ani wydzierżawić jego współwyznawcom!

Trzeba jednak przyznać, że to człowiek zdolny i mistrz w grze politycznej: jako Polak patryota zdobył sobie stanowisko wpływowe w Sejmie, w Radzie miejskiej i w stronnictwie narodowo-demokratycznem a jako obrońca interesów żydowskich może liczyć na głosy swoich współwyznawców przy wyborach do Rady państwa. Prawda, że wystąpił także przeciwko syonizmowi, ale uczynił to w sposób, który nie powinien do niego zrazić i zwolenników tego programu. Warto i ten wybornie wystylizowany ustęp z jego mowy przytoczyć: »I odruchowo burzy się podeptana godność ludzka i w tych młodych umysłach odzywa się głos: »Jestem przecie potomkiem wielkich przodków, którzy dali ludzkości wszystko, co ona ma najdroższego, bo wiarę w jedynego Boga, jestem członkiem społeczeństwa, co ma za sobą świetną przeszłość i złote karty w dziejach«. I myśl cofa się wstecz, szuka pociechy i dumy w minionych wiekach i gubi się w marzeniach, które prowadzą na manowce. I oto mamy już gotową, nową kwestyę, której w tej chwili nazwać nie chcę. I jest nowe niebezpieczeństwo narodowe«. Niema tu nic, coby mogło dotknąć syonistów, owszem, słowa te utwierdzą ich w mylnem przekonaniu, że my powinniśmy ich szczególnie cenić szanować, bo »ich przodkowie dali nam wiarę w jedynego Boga!« Zresztą starsi i rozsądniejsi pomiędzy nimi wiedzą bardzo dobrze, co mają sądzić o właściwych tendencyach pewnych przeciwników swego ideału...

O rozwoju gatunków.

Jeszcze przed kilkudziesięciu laty utrzymywano niemal powszechnie, że wszystkie gatunki roślinne i zwierzęce istnieją w tej postaci, którą dziś posiadają, od początku. Dopiero sławna książka Karola Darwina: „O pochodzeniu gatunków“ wywołała szybkie rozszerzenie się przeciwnego zdania, zwłaszcza między przyrodnikami. W ten sposób dawna teorya stałości gatunków, zwana także kreacyanizmem, musiała coraz bardziej cofać się przed nową nauką, której dano rozmaite nazwy: Darwinizmu, transformizmu, ewolucyonizmu, teoryi rozwoju lub descendencyi, czyli pochodzenia. Dzisiejsze gatunki — głosi wspomniana nauka — powstały skutkiem rozwoju

z niedoskonałych ustrojów pierwotnych. I trzeba wyznać, że ewolucyonizm wziął stanowczo górę nad kreacyanizmem: przeważna większość przyrodników oświadcza się obecnie za rozwojem gatunków a zwolennicy ich stałości należą do wyjątków. Nie dziw tedy, że ta modna doktryna przedostała się także do podręczników szkół średnich.

Jakież wobec niej należy zająć stanowisko? Aby na ta ważne a trudne pytanie odpowiedzieć, wymienimy najważniejsze postaci ewolucyonizmu, poddamy krótkiej ocenie Darwinizm w ścisłem słowa znaczeniu, przedstawimy niektóre wywody ewolucyonistów wraz z odpowiedziami ich przeciwników, tudzież zajmiemy się stosunkiem ewolucyonizmu do religii; osobno omówimy wreszcie zagadnienie o zwierzęcem pochodzeniu człowieka. Wpierw wszakże pozwolimy sobie na jedną uwagę. Słyszymy i czytamy dość często, że tylko przyrodnicy powinni rozstrzygać sprawę pochodzenia gatunków. Chcemy sprostować to zapatrywanie: naszem zdaniem należy się tutaj głos przedewszystkiem, choć nie wyłącznie, filozofii. W istocie przyrodnik, o ile jest przyrodnikiem, bada jedynie to, co należy do dziedziny doświadczenia; doświadczenie wszakże nic nam nie mówi, skąd się wzięły gatunki. Stąd przyrodnik poprzestaje na dostarczeniu faktów, potrzebnych do rozwiązania pytania, o którem mówimy. Natomiast jest rzeczą filozofa iść dalej: on ma odgadywać to, czego zmysł dostrzedz nie potrafi; on ma szukać przyczyn podanych faktów, przyczyn nie tylko najbliższych, lecz także ostatecznych. Czy więc przyrodnik nie może mówić o pochodzeniu gatunków? Może, atoli wówczas występuje nie jako zwyczajny badacz zjawisk, ale jako sięgający głębiej myśliciel.

Wracając do przedmiotu, rozpoczniemy od główniejszych odmian transformizmu. Na pierwszem miejscu położymy czysty, tj. właściwy Darwinizm. Treść tego systemu jest następująca: Dzisiejsze ustroje powstały powoli z kilku lub może jednej formy pierwotnej, którą Bóg stworzył—dzięki przedewszystkiem doborowi naturalnemu w walce o byt (*natural selection in struggle for life*). Znaczenie tego doboru wskazuje dobór sztuczny. Wiemy wszyscy, jak przez umiejętną hodowlę a mianowicie przez stosowne krzyżowanie osobników, posiadających pewne zboczenia przypadkowe, powstają rozmaite odmiany. Oto w r. 1793 z krzaka białej róży wyrósł w Szkocyi szczep róży czerwonej; skutkiem hodowli otrzymano z niego po dwudziestu latach 26, a po pięćdziesięciu 300 rozmaitych odmian. Podobnie wszystkie szlachetne odmiany naszych jabłoni i grusz (a mamy ich kilkanaście tysięcy) zawdzięczają swój początek sztucznemi doborowi drzew dzikich, zwanych w botanice *Pirus malus i Pirus communis*. Korzyści tego doboru widzimy także w królestwie zwierzęcem. Jeśli hodowca chce otrzymać pokolenie owiec o delikatnej wełnie, natenczas wybiera i krzyżuje osobniki, posiadające taką wełnę. Niektórym powstałym w ten sposób jagniętom będzie ta właściwość przysługiwała może w wyższym stopniu, niźli ich rodzicom; następne pokolenie posiędzie, skutkiem podobnego dobrania osobników, jeszcze delikatniejszą wełnę od poprzedniego. Wszystkie rasy gołębia — a liczą ich dzisiaj około dwieście—wyszły z gołębia skalnego *(Columba livia)*, gdy człowiek zajął się jego hodowlą. Tą wreszcie drogą powstały najrozmaitsze rasy i odmiany zbóż, jarzyn, kur, koni, psów, królików itd. słowem, dobór sztuczny wytwarza nowe odmiany i rasy. Czy podobnie nie dzieje się na łonie natury? Owszem — odpowiada Darwin — z tą tylko różnicą, że w przyrodzie zastępuje ludzką hodowlę dobór naturalny, czyli walka o byt. Walka ta jest koniecznem następstwem niesłychanej płodności ustrojów. Toczy się tedy bój już to — i to przedewszystkiem — między osobnikami tego samego gatunku, już to między różnymi gatunkami, już to między gatunkami i osobnikami a stosunkami zewnętrznymi. Jedne jestestwa giną jako zarodki, drugie w stanie dojrzałym; jedne jako żer, drugie z braku żeru, z braku ciepła, światła, wilgoci lub innych warunków życiowych. Natomiast zwycięsko wychodzą z walki osobniki, które posiadają lepszą organizacyę, u których zjawił się przypadkowo jakiś przymiot pożyteczny, jakieś zboczenie korzystne, choćby z początku całkiem nieznaczne. Przystosowując się w ten sposób do warunków, osobniki przekazują nabyte zboczenie potomstwu. Gdy podobny proces powtarza się dłużej, jasne jest, iż zboczeń będzie coraz więcej. Po milionach lat otrzymamy postaci tak mało podobne do dawnych, że się je musi uważać za różne od nich gatunki. Oto skutki działającego mechanicznie doboru naturalnego, skutki wcale zrozumiałe! Skoro dzieła przyrody wogóle przewyższają dzieła sztuki, przeto i dobór naturalny stoi wyżej od sztucznego. Jeśli więc drugi wytwarza nowe rasy, dlaczego pierwszy nie mógłby powołać do bytu nowych gatunków?

Obok doboru przypuszcza Darwin podrzędne czynniki rozwoju, a mianowicie zmienność, dziedziczność i dobór płciowy. Zmienność, polegająca na tem, że potomstwo zbacza od typu rodzicielskiego, nie zna granic i odbywa się we wszystkich kierunkach. Dziedziczność przenosi na dzieci nabyte przypadkiem znamiona rodziców. Dobór płciowy, będący szczególniejszym okazem doboru naturalnego, objawia się w tem, że w walce samców o posiadanie płci drugiej samice wybierają najponętniejszych zalotników.

Oto szkielet hipotezy Darwina! Głównymi jej filarami są dziś Haeckel i August Weismann — pierwszy profesor w Jenie, drugi we Fryburgu (Brisgowia). Haeckel wysnuł z Darwinizmu najskrajniejsze wnioski i zamienił go w filozoficzny pogląd na świat, zwany monizmem realistycznym. Weismann, odstąpiwszy w niektórych punktach od nauki mistrza, dał początek nowemu kierunkowi, który nosi imię Neodarwinizmu.

W przeciwieństwie do Darwinizmu i Neodarwinizmu powstał i rozwinął się, zwłaszcza w Ameryce, t. zw. Neolamarckizm. Teorya ta albo odrzuca całkowicie dobór naturalny, albo przyznaje mu podrzędną rolę, a upatruje jak czynił głośny w swoim czasie ewolucyonista francuski Lamarck, główną przyczynę rozwoju ustrojów w środowisku (pokarm, ciepło, światło itp.).

Wymienione dotąd hipotezy oświadczają się za powolnym rozwojem gatunków. Nie brak wszakże przyrodników, którzy przypuszczają przekształcenia szybkie pod wpływem przyczyn wewnętrznych. Tutaj obok wielu innych należą: von Baer, Wigand, Kölliker, Mivart, Wasmann i de Vries. Są jednak pewne odcienia i w tym

odłamie transformizmu. Tak np. botanik amsterdamski de Vries przypuszcza, że w rodowych dziejach każdego ustroju istnieją dwa szeregi przeplatających się wzajem okresów. W szeregu o okresach, liczących po kilka tysięcy lat, niema żadnego rozwoju; w krótkich okresach szeregu drugiego ustroje wydają z siebie nagle, wybuchowo, mnóstwo nowych gatunków. Stąd tamte okresy zowią się okresami immutacyi, a te okresami mutacyi. De Vries miał nawet odkryć okres mutacyjny u wiesiołka wielkokwiatowego, rośliny sprowadzonej do nas z Ameryki.

Tak wyglądają wybitne postaci ewolucyonizmu. Ocenimy w tem miejscu najważniejszą z nich, Darwinizm właściwy, poprzestając na paru uwagach.

Najpierw ze stanowiska filozoficzno-teologicznego zarzucamy hipotezie to, że dobór naturalny odbywa się bez celowego zamiaru, bez teologicznego pierwiastka a więc na ślepo, przypadkiem. Toż ustawicznie powtarzają wielbiciele Darwina, że dopiero jemu udało się wyrzucić zmorę celowości ze świata organicznego, a jego rozwój wytłumaczyć czysto mechanicznie. Darwin — powiada Haeckel[1]) — rozwiązał ostatecznie jedną z największych zagadek filozoficznych, mianowicie pytanie: »jak mogą powstać celowe urządzenia bez przyczyn celowych«? Nie podobna oczywiście zgodzić się na takie wyjaśnienie faktu celowości. Celowość przyrody musi być owocem działającej z zamiarem przyczyny rozumnej. Jeśli żaden sztuczniejszy układ, żadna np. machina nie może powstać przypadkiem, to tem bardziej żaden żywy ustrój. A jeśli rozwój jednego osobnika przypuszcza wpływ celowego pierwiastka, to cóż dopiero rozwój tylu tysięcy gatunków![2]) Stąd słusznie pyta nasz Struve: »Czy pojęcia rozwoju, postępu... nie są pojęciami teleologicznemi? Niechże nam wszyscy przyrodnicy świata, razem wzięci, powiedzą, w jaki sposób bardziej celowo miałby być urzeczywistnionym cel życia wszechświatowego, jeżeli dany faktyczny rozwój jestestw żyjących nie ma być objawem takiego właśnie celu[3]).

Druga nasza uwaga ma charakter przyrodniczo filozoficzny. Najważniejszy zdaniem Darwina czynnik rozwojowy, dobór przyrodzony w walce o byt, nie potrafi wytworzyć nowych gatunków. Uczony angielski, przyjąwszy za punkt wyjścia podobieństwo między doborem sztucznym a naturalnym, twierdzi, że jeśli pierwszy wywołuje znaczne zmiany w ustrojach, to drugi potrafi je przekształcić całkowicie, gdyż siły przyrody są potężniejsze od ludzkich. W rzeczywistości wszakże rozumowanie to jest sofizmatem. Są rzeczy, w których przyroda okazuje się wyższą od człowieka — są inne, w których człowiek bierze górę nad przyrodą. Przyroda uchodzi słusznie za niedoścignioną mistrzynię w zakresie sił mechanicznych: tworzy np. niebotyczne góry lub niezgłębione przepaści. Chociaż jednak każe szumieć wiatrom, chociaż w skorupie ziemskiej układa warstwy marmuru, nikt w niej nie spotkał ani Marszu żałobnego Beethovena, ani mediolańskiego tumu. Podobnie dobór naturalny nie tylko nie przewyższa sztucznego, ale mu nawet nie dorównywa. Wprawdzie pod wpływem środowiska powstają także w naturze odmiany i rasy, jeżeli istnieją odpowiednie warunki, atoli nie są one tak liczne, jak rasy i odmiany wytworzone przez sztukę ludzką. W wolnej przyrodzie żyje kilka dzikich ras gołębia skalnego, gdy dzięki hodowli gołąb ten dał prawdopodobnie początek 150 rasom swojskich gołębi. A kto widział w naturze róże, jabłka lub gruszki, dorównywające wielkością, kształtem, barwą, smakiem i zapachem tym, które zdoła wyhodować umiejętna ręka ogrodnika? Więc dobór naturalny, nie może się mierzyć ze sztucznym. Lecz gdyby się nawet mierzył nie zdołałby sprowadzić przemiany gatunków. Bo do jakich wyników dochodzi się przy pomocy najstaranniejszej hodowli? Oto do powiększenia ustrojów lub ich części — do zmiany zewnętrznego kształtu (n. p. forma piramidy u drzew owocowych lub pewna forma liścia), barwy, uwłosienia, zawartości cukru — do pomnożenia albo zmniejszenia liczby członków jednorodnych (n. p. pylników i słupków) — do przyspieszenia albo opóźnienia kwitnięcia, dojrzewania itp. Z drugiej strony niektóre otrzymane sztucznie odmiany nie dają się doskonalić dalej, lecz zaczynają się po niewielu latach wyradzać; tak np. dzieje się z odmianami ziemniaków i rzepy. Tymczasem powstanie nowego gatunku domaga się bądź przekształcenia całej budowy ustroju, bądź trwałego zachowania nabytych zalet. C. d. n.

X. Dr. K. Wais.

---

¹) Natürliche Schöpfungsgeschichte, wydanie 9. Berlin 1898, str. 258.

²) Zob. Wais, Kosmologia, czyli filozofia przyrody (część ogólna), Warszawa 1907, str. 208—225.

³) Wstęp krytyczny do filozofii, wyd. 3, Warszawa 1903, str. 237 i n.

O stosunku katechety do młodzieży.

(Dokończenie.)

II.

»Sacerdos alter Christus«. P. Jezus nie tylko nauczał ale, jak już powiedziałem, szedł między lud dobrze czyniąc. Więc i katecheta nie może ograniczać swego zadania na nauczaniu w szkole. On musi zetknąć się z uczniami i na neutralnym gruncie po za nią, musi mieć zawsze dla nich czas, otwarte drzwi a przedewszytkiem serce.

Kwestya zbliżania się nauczycieli do uczniów po za szkołą jest dzisiaj często omawiana i kładziona na pierwszem miejscu. Jeźli łatwo ją osądzi teoretycznie — to trudno przeprowadzić praktycznie. »Per se«, jest konieczną, — szczególnie w stosunku katechety do młodzieży.

Zetknięcie pozaszkolne powoduje silniejsze oddziaływanie na młodzież, daje sposobność do tak mało w szkole możliwego jej wychowywania. W swobodnem zetknięciu pozaszkolnem, więcej można oddziałać na umysł chłopca niż wtedy gdy siedzi czwartą lub piątą godzinę w klasie i słucha tego, co się weń wgaduje i nudzi się, bo słucha uszami ale odbiega duchem. W rozmowie w cztery oczy musi go kwestya więcej zająć, aniżeli wtedy, gdy jest jednym z 50-ciu słuchających, więcej można przemówić do jego rozumu i serca. Widzi się wtedy wpływ każdego słowa, można natychmiast uzupełnić brak, sprostować złe zrozumienie. Wielcy młodzi herezyarchowie bywają w ten sposób przekonanymi o ich błędzie w pół godziny a czasem i prędzej. Toż samo, gdy się rozchodzi o kwe-

styę nie religijną — ale polityczną lub społeczną. Omówienie jej może niejednemu złemu zapobiedz, niejednemu nieprzyjacielowi popsuć szyki, a wilka odgonić — co przecież jest obowiązek dobrego pasterza. W klasie przychodzi to daleko trudniej, bo uczeń nie myśli samodzielnie ale ulega suggestyi tłumu.

Zdarza się czasem, że jakaś sprawa tak zawichrzy głowy młodzieży, że w szkole nikt z nimi nie dojdzie do ładu.

W domu — wogóle po za szkołą, gdy się mówi z tymi, którzy mają lepiej w głowie i sercu a na kolegów mają wpływ, gdy się ich przekona — oni łatwo na resztę oddziałają; oczywiście aby to czynić, trzeba uczniów znać a przynajmniej przy wielkiej ich liczbie indywidualności najwybitniejsze. Uważam dlatego, zwłaszcza w dzisiejszych trudnych czasach, za system nieodpowiedni podział klas między dwu katechetów taki, aby jeden z nich odbierał uczniów dopiero w klasie 5 tej. Wyjdą ze szkoły, — nim ich pozna. — Aby uczniów znać, trzeba także znać ich t. zw. generalia, trzeba wiedzieć, gdzie i jak mieszkają, jakie ich otoczenie. Czy uczniów odwiedzać w domu, to kwestya trudna do rozstrzygnięcia ogólnego. To zależy od lokalnych stosunków i od stosunku katechety do młodzieży. Kto zna swoich uczniów, pozna także łatwo, kiedy który będzie potrzebował szczególniejszego zajęcia się nim po za szkołą. Rozmowa w cztery oczy nieraz wiele przynosi pożytku, od upadku ochroni — siły podtrzyma, otuchy doda, wprowadzi na drogę pracy nad sobą.

I nie trzeba czekać, aż chłopiec sam z biedami swojemi przyjdzie — bo to rzadko się zdarzy, ale trzeba samemu dopatrzeć chwilę odpowiednią, a postępować ostrożnie, z delikatnością, nie natarczywie a przedewszystkiem z miłością wielką. Toż samo w każdej biedzie i potrzebie niech katecheta zajmie się uczniem niech raduje się jego radością, jak już powiedziałem, smuci smutkiem.

To wszysto w szkole zrobić się nie da, na to trzeba zetknąć się z uczniami po za nią, na to nie można żałować czasu, pamiętając, że życie katechety należy do młodzieży, że to dusze, za które on odpowie przed Bogiem. Jak w tem zbliżeniu z młodzieżą postępować? Tak samo jak w szkole, z gorliwością, miłością, prostotą, szczerością a dodam jeszcze z towarzyską lojalnością. Wszystko, co uczeń katechecie w zaufaniu mówi, musi zapaść w nim jak w studni. Wszak obowiązuje go nawet secretum naturale. Zdradzenia zaufania młodzież nie przebacza i słusznie, bo to rzecz brzydka.

Kto na to się narazi, nie ma co robić dłużej w szkole.

Reasumując to wszystko, co powiedziałem, sądzę więc, że zetknięcie się katechety z młodzieżą po za szkołą jest koniecznem, jeśli tylko opiera się na realnej podstawie, to znaczy, o ile wymaga go potrzeba umysłowa czy duchowa czy doczesna uczniów. Na tej drodze można zdziałać bardzo wiele, można mieć młodzież w ręku.

Co do wycieczek z uczniami, to nie ulega wątpliwości, że one przyczyniają się do wzajemnego zbliżenia się. Sądzę jednak, że kapłan mniej na tem zyska niż świeccy nauczyciele, w każdym razie musi mieć niezmiernie wiele taktu. Wyrabiają one nieco za wiele spoufalenia, które nie pomnaża, zwłaszcza u dzisiejszej młodzieży, uszanowania. Mogą oni o tyle oddziałać dobrze, o ile młodzież przekonywają, iż kapłan nie żałuje trudu dla niej, — że dla niej żyje.

Jest jeszcze inny rodzaj pozaszkolnego zbliżenia się do uczniów. Jest to zetknięcie się z nimi nie na gruncie realnej potrzeby, ale, że tak powiem, na czysto towarzyskim. Więc spraszanie młodzieży, przyjmowanie, ciągłe otaczanie się nią.

Nie śmiem wydać o tem stanowczego zdania, ale nie jestem pewny, czy ono korzyść przynosi. Młodzież chętnie to widzi, — ale często podejrzywa o szukanie popularności, podejrzywa o donosy — wyrabiają się między nią zazdrości i niechęci. Kto to robić umie — niech robi. Ale potrzeba tu bardzo wiele taktu, spokoju, opanowania każdego słowa, — aby rezultat nie był wprost ujemny. Trzeba więc przeprowadzić dokładną introspekcyę siebie samego, nim się do tego zabierze — a potem trzeba refleksyi nieustannej. Nieraz nauczyciele wciąż otoczeni młodzieżą, są bardzo popularni, ale i pretensye do nich są liczne. Utrudniają to zetknięcie także pewne błędy dzisiejszego wychowania domowego. Młodzież mało wynosi z niego uszanowania dla starszych. Z chłopcami małymi rezonuje się, wszystko tłumaczy się im na rozum nie wymaga się bezwzględnego posłuszeństwa, przy nich się ludzi krytykuje — nawet ich profesorów. Przy bliższem więc takiem zetknięciu, w którem kapłan nie jest ściśle w swej roli — krytykuje się go, podpatruje wady — a to niszczy powagę, wyrabia złe spoufalenie. Jest również druga wielka wada w dzisiejszych stosunkach towarzyskich — a nią jest interesowność. Kultywuje się przeważnie stosunki z ludźmi »potrzebnymi«. Chłopiec widzi to od dziecka, a przecież katecheta w szkole jest osobistością bardzo potrzebną. Jest jeszcze jedna wada — a nią jest kłamstwo. Chłopiec żyje od dziecka w tej atmosferze. A przecież zetknięcie się się z młodzieżą tyle tylko przynosi korzyści, o ile opiera się na prawdzie.

Nie jestem pesymistą, owszem twierdzę, że młodzież nasza z natury jest dobrą; niestety w wychowaniu domowem często są wielkie powyżej przytoczone i inne braki a one utrudniają katechecie pracę. Dobra zaś natura naszej młodzieży okazuje się w tem, że w owych rozmowach we cztery oczy, jest ona niemal zawsze szczerą, bezinteresowną, mówi o sobie otwarcie, dobrze czy źle; odczuwają oni wtedy, że mówią z kapłanem, który ich kocha i który pragnąłby im nieba przychylić, umieją odpłacać sercem za serce. A spoufalenie nie następuje, bo ten kapłan to nie towarzysz wspólnie marnowanego czasu na czczej rozmowie, — ale ojciec, wchodzący w potrzeby syna, przyjaciel, podający rękę przyjacielowi w ciężkiej chwili.

Chwile więc takiego zajęcia się pozaszkolnego młodzieżą na gruncie jej potrzeb realnych nie są stracone — odpłacają się w czwórnasób; wytwarzają one bliższy stosunek, nie na czas krótki ale rozciąga on się i na czas studyów uniwersyteckich ucznia, co jest rzeczą wielkiej wagi; zwykle i w późniejszych latach uczniowie, nad którymi się tak praco-

wało, stają się najwierniejszymi przyjaciółmi. Co do owego zbliżania się towarzyskiego do młodzieży, to sądzę, że mogłoby ono daleko więcej przynieść korzyści, gdyby mu poświęcili nieco czasu kapłan, stojący po szkołą, a młodzież kochający.

Oni nie byliby narażeni na niebezpieczeństwa z tem połączone, na które jezt narażony katecheta i obyśmy takich kapłanów mieli jak najwięcej! Jestem zdania, że tego zajęcia się młodzieżą jest u nas wielki brak. Społeczeństwo a z niem i wielka część kapłanów przeocza obowiązek urabiania młodzieży, od którego przyszłość tego społeczeństwa zawisła. Zostawia się to wyłącznie nauczycielom i katechetom a skoro młodzież przyjdzie na uniwersytet, Opatrzności; nic dziwnego, że między chrześcijaństwem a wielką częścią inteligencyi otwiera się potem przepaść. A przecież u młodzieży naszej jeszcze cześć dla kapłaństwa jest, a jak zajęcie się nią i serce dla niej na nią oddziałać może, jaką wdzięcznością za to i ufnością odpłacać się ona umie, to widziałem w Krakowie na żywym przykładzie z niedalekiej przeszłości.

Jest jeszcze jedna kwestya: czy katecheta powinien lub może spowiadać swoich uczniów? Są rozmaite o tem zdania. Mnie się zdaje, że to zależy od okoliczności. Jeźli uczniowie mają do katechety najzupełniejsze zaufanie — jeźli panuje szczerość taka, że o wyzyskaniu na złe spowiedzi św. mowy być nie może, nie widzę przeszkody żeby katecheta nie miał wyspowiadać tych, którzy tego pragną. Wszak wszystko, co należy do pracy pasterskiej, należy i do katechety, d o b r o d u c h o w e m ł o d z i e ż y t o j e g o ż y c i a j e d y n y c e l. Jestem przekonany, że jeźli katecheta o tem pamięta — stosunek jego do młodzieży musi być dobrym. A stosunek dobry, powtarzam jeszcze raz, zawiąże się wtedy, gdy ze strony katechety będzie gorliwość, miłość, prawda i szczerość, ze strony uczniów taż sama szczerość, uszanowanie, życzliwość, zaufanie; to podstawy, na których wyrobi się i utwierdzi łączność duchowa, łączność idei, usiłowań, ukochań.

Prawda, że osiągnięcie tego idealnego stanu nie jest rzeczą łatwą, ale włóżmy tylko w pracę swoją jak najwięcej gorliwości i miłości. Jeźliby jednej z nich zabrakło, albo jeźliby jedna z nich nie była dość intenzywną, nie pomogą żadne obrady, teorye, znakomite metody dydaktyczne. Nauka pójdzie w takim razie do głów, z których prędko wywietrzeje, nie pójdzie jednak do dusz.

Szukając światła i pomocy u Tego, w którego Imieniu, dla którego i przez którego pracujemy, miejmy za dewizę w całej naszej pracy i postępowaniu z młodzieżą słowa:

»Przyszedłem ogień puścić na ziemię,
a czegoż chcę — jedno, aby był zapalon«.

X. Dr. A. Podwin.

Kronika Kościelna.

Zabór austryacki. Agitacya wyborcza.

Agitacya wyborcza, jakiej widownią stał się od niejakiego czasu nasz kraj, wydobyła na wierzch prawdziwe męty polityczno społeczne obok zupełnej prawie apatyi kół chrześcijańsko-narodowych. Znalazły się tu prawdziwie piękne dusze z obozu syonistyczno socyalistyczno-ruskiego i święcą wszędzie swe orgie. Tym ludziom nie potrzeba chyba pisanych paktów, znajdą się zawsze, gdzie chodzi o szkalowanie przeszłości naszej narodowej i świętości religijnych. Wtórują im oczywista pisma tego pokroju, z któremi polemika niema chyba celu. Prostować świadome błędy złej woli niepodobna. Strują się chyba własnym jadem, zabiją się własnem kłamstwem.

Jak dotychczas rej w tych agitacyach wodzą nasi i z Rosyi importowani żydkowie. Tych każe Dr. Loewenstein nam wychowywać na dobrych i pożytecznych kraju obywateli! Środek podał ten pan prosty; mnożyć we wszelkich dykasteryach urzędników-żydów, usuwać konkurencyę (?) chrześcijańską w handlu, a nędzę żydowską znieść za pomocą wydatnych zasiłków ze strony kraju i państwa. Jak widzimy, plan szeroki i jasny. Ale godzi się tego pana zapytać, czy też on sam wierzy w skuteczność tych środków? Lat temu kilkanaście powstała organizacya, mająca na celu uobywatelenie żydów. Wydawano nawet osobne w tym duchu pismo polsko-hebrajskie. Do tej organizacyi należał wówczas jeszcze młody sam p. Loewenstein. I jakiż tych usiłowań skutek? Gorzej niżeli żaden. Oto większa część ówczesnych zapalonych asymilatorów (ba nawet sam inicyator Nossig!) przeszła do obozów przeciwnych, oddawszy się syonizmowi, socyalizmowi lub wogóle prądom destrukcyjnym, działającym wbrew naszym najżywotniejszym interesom. Wówczas też, pod wrażeniem oczywistej bezpłodności tego rodzaju usiłowań, napisał był jeden z najszlachetniejszych działaczy asymilacyjnych, dziś już gorący i znany katolik Dr. Caro broszurę: »Die Judenfrage eine ethische Frage« w której jak na dłoni wykazał, iż punkt ciężkości tego problemu leży w etyce żydowskiej — a ta — daruje szan. pan Loewenstein, jest nieco odmienna od n a s z e j, której osłabienie uważalibyśmy za prawdziwe nieszczęście dla naszej ojczyzny. Na to chyba nie poradzi się zapychaniem urzędów żydami i dyskretne usuwanie się chrześcijan z dziedziny handlu. Raczej osiągnie się skutek przeciwny.

Zabór rosyjski. Niepewność sytuacyi. Praca oświatowa. Ruchliwość duchowieństwa.

Niewielkie nadzieje pokładane w drugiej Dumie, nie spotęgowały się bynajmniej. Niepewność jutra tej niewyraźnemi artybucyami obdarzonej instytucyi denerwuje całą Rosyę a zwłaszcza Królestwo polskie.

Ale pomimo tego praca tam, szczególnie na polu oświaty, nie ustaje. Macierz tamtejsza, ogromnie czynna, rozszerza coraz bardziej sieć swoich szkół o najrozmaitszych typach. Nie możemy jednak bez niepokoju patrzeć na dość wielkie niedomagania pod względem religijnym wielu tych szkół. Nie jest to jednak winą centralnego zarządu, okazującego i tu dobrą swą wolę, ale nie zawsze wyrobionych żywiołów, którymi się w wielu miejscowościach posługiwać musi. Miejmy nadzieję, iż dzięki pracy ze wszech miar chwalebnej naszego duchowieństwa i te braki ustąpią. A pracuje to duchowieństwo naprawdę gorliwie, zwłaszcza gdy mu przoduje taki gorliwy pasterz, jak ks. Biskup Zdzitowiecki w Włocławku. Liczne zjazdy dekanalne i inne pod jego przewodnictwem zdołały już wiele uczynić dobrego i ujednostajnić pracę, dotychczas na ochotnika przez niewielu kapłanów podejmowaną.

Zabór pruski. Walka. Tajemnicza korespondencya. Pod adresem »Dziennika Poznańskiego«.

Prześladowanie w Poznańskiem trwa bez przerwy. Zaprawdę podziwiać trzeba to nasze ciągłemi prześladowaniami targane społeczeństwo, w którem tyle wiary, hartu i odporności się okazuje. Na pierwszy plan wysuwa się coraz bardziej lud nasz, z całą świadomością walczący o swoje świętości. To też on najbardziej cierpi i znosi obok swych duszpasterzy ciężar dnia i upalenia.

W drukowanej jako rękopis „Korrespondenz des Pius-Vereines“, zazwyczaj dobrze w sprawach kościelnych poinformowanej a nam wielce przychylnej, zjawiła się niedawno korespondencya z Rzymu dość dla nas niezrozumiała. Opie-

wa się w niej wysoką mądrość Ojca św., podnosi się takt polityczny księcia Bulowa i to rzekomo z powodu zażegnania trudności w sprawie poznańskiej. Nie wątpimy o mądrości Piusa X. ani o Jego ku nam miłości, ale nie możemy się dopatrzeć zaprzestania walki, ze strony rządu pruskiego nam wydanej. Może to zapowiedź zwrotu? Daj to Boże!

Ks. Kruszka prowadzi walkę w dalszym ciągu i to na dwa fronty. Swoją w Gazecie już ocenioną »Historyą« uśmiercił Zmartwychwstańców; obecnie prowadzi w dalszym ciągu kompanię z Franciszkanami polskimi w Ameryce, a nadto w szeregu artykułów, w Dzienniku poznańskim umieszczonych, obiera na swój sposób ze czci i wiary — Biskupów amerykańskich. — Wykazaliśmy chyba dowodnie całą nieuczciwość postępowania ks. Kr.; przewrotną metodę, jaką się on posługuje w walce ze swoimi przeciwnikami. Tej metody nie zapiera się nawet ks. Kr. i owszem w odpowiedzi na spokojny i objektywny list ks. Smolikowskiego, byłego jenerała Zmartwychwstańców, odpowiada z całym cynizmem, szydząc z łatwowierności tego świątobliwego kapłana. Otóż zdaje nam się, iż tak poważny Dziennik Poznański, hołdujący jeszcze etyce starego świata, powinien być nieco ostrożniejszy w umieszczaniu elukubracyi tego sławetnego męża, będącego niestety i kapłanem. Dla informacyi „Dziennika“ odsyłamy go do recenzyi w Nrze 5 umieszczonej, którą widocznie przeoczył.

Przykra nad wyraz sprawa ks. Kruszki przypomina nam naglącą potrzebę założenia Seminaryum duchownego dla rodaków naszych w Ameryce. Zajmował się tą sprawą ks. Arcyb. Symon — miano je założyć w Krakowie, w dawnym gmachu Seminaryum dyecezyalnego i szkoda, że rzecz jakoś ugrzęzła! My tu w Polsce nie mamy wielu kapłanów na eksport - praca po nad siły nas tu absorbuje. Potrzeba więc osobnej instytucyi, wychowującej młody kler dla Polaków w Ameryce. Kler zakonny sam tej pracy tam nie podoła.

Ks. J.

Bibliografia.

Gaston Boissier „*La Conjuration de Catilina*“ (Paris 1906).

Do wspomnień najżywszych, jakie pozostają uczniom po studyach gimnazyalnych, należy potęga wymowy, której Cyceron zawdzięczał swój tryumf w walce swej ze spiskiem Katyliny. Któż nie pamięta gwałtownej, a przecież doskonałej pod względem krasomowczym inwektywy, rozpoczynającej pierwszą »Katylinarkę«: »Quousque tandem, Catilina, abutere patientia nostra?« Czy jednak wielu jest między nami takich, którzy po ukończeniu szkoły średniej mieli jeszcze czas i ochotę do zajmowania się dziełami Cycerona i traktującą o nim literaturą? Wiemy, ile to przyczyn różnorakich od tego nas powstrzymuje: rzeczy te należą do odległej przeszłości, z którą czasy dzisiejsze nie mają nic wspólnego; — nie widzimy pożytku w lekturze, z której nie możemy bezpośrednio korzystać w pracach naszych obowiązkowych; — niejednego też odstręcza od klasyków wspomnienie jałowej, nudnej pedanteryi profesorów, pod których kierunkiem z nimi się zapoznał itd. To są powody, dla których dziś nie interesuje nas już Cyceron, dawniej tak wielbiony, a w ostatniem stuleciu przez wielu badaczy niekorzystnie oceniany, a zwłaszcza przez Mommsena: jego wymowa ma być tylko czczą frazeologią a jego działalność polityczna nie ma zasługiwać na górnolotne pochwały, których jej nie skąpiono, a których najszczytniejszym wyrazem jest dany mu przydomek pater patriae«.

Ale jakkolwiek Cyceron miał swoje słabostki i przeceniał doniosłość swych czynów, jakkolwiek jego mowy są zbyt rozwlekłe i dziś mogą się wydawać płytkiemi, to przecież posiadają one ogromne zalety. Nie pożałuje też trudu, kto w wieku dojrzałym przeczyta na nowo jego »Katylinarki«, których jeszcze nie mógł całkiem dobrze zrozumieć w gimnazyum, a do których nowy i wyborny komentarz napisał jeden z najwybitniejszych filologów dzisiejszych, profesor paryski Boissier. W rozprawie swojej o spisku Katyliny kreśli on żywy obraz ówczesnego społeczeństwa rzymskiego, wykwintną jego cywilizacyę i ogładę zewnętrzną, pod którą kryło się straszne zepsucie obyczajów. Poznajemy tu owych młodych elegantów w tunikach purpurowych z rękawami, w togach lekkich, jak welony niewieście, — owe kobiety emancypowane, naśladujące we wszystkiem mężczyzn występnych, a należące również do grona, które skupiało się wokoło Katyliny i zamierzało pod jego przewodem opanować rzeczpospolitą; — owe morderstwa polityczne, przypominające zbrodnie dzisiejszych socyalistów, — owych adwokatów, zarzucających bez skrupułu — »consuetudinis causa« — przeciwnikom swoim największe występki, owe zaciekłe walki stronnicze, które kazały później przyjąć samowładztwo Cezara jako dobrodziejstwo dla państwa; — jednem słowem: autor rzuca snopy nowego światła na życie ówczesnego Rzymu. Dopiero też po przeczytaniu jego rozprawy staje się nam zrozumiałym cały związek wypadków i niejeden szczegół, dotąd nie wyjaśniony, w mowach Cycerona przeciw Katylinie. Styl autora i całe przedstawienie rzeczy odznacza się wytwornością francuską, odbijającą bardzo korzystnie od ciężkiej uczoności niemieckiej i sprawia, że rozprawę czyta się, jak doskonale napisaną powieść.

X. P.

Aleksander Brückner »*Dzieje języka polskiego*« (Lwów str. 179. Tom trzeci wydawnictwa p. n. »Nauka i sztuka«. Cena 5 koron).

Nowe to dzieło prof. berlińskiego mniejsze ma znaczenie dla umiejętności niż poprzednie prace tego badacza, które mu zasłużoną zjednały sławę (pomijamy tu milczeniem zarzuty, uczynione mu całkiem słusznie ze strony katolickiej). Ale każdy Polak, miłujący swój język ojczysty, będzie poczuwał się do wdzięczności wobec uczonego autora za to, co nam w tej książce podaje. Zapoznaje nas ona w sposób bardzo zajmujący i dla ogółu przystępny z rozwojem naszego języka od czasów najdawniejszych aż do najnowszych i zawiera mnóstwo wiadomości ciekawych o wpływach, jakim ten język ulegał i jakie wywierał na inne, o kolejach, jakie przechodziły wyrazy, o początkach naszego piśmiennictwa itd. Pokazuje się np., że niejeden zwrot, uważany nawet przez specyalistów w gramatyce polskiej za błędny, za germanizm (jak: to stoi w Biblii por. str. 2). znajduje się już w zabytkach 15-go wieku; — z drugiej zaś strony dowiadujemy się o wielu wyrażeniach, które nam wydawały się czysto polskiemi, że są pożyczone od Niemców, Czechów, Węgrów itd. Słusznie jednak występuje autor przeciw owemu przesadnemu puryzmowi, który chciałby usunąć wszystkie słowa pochodzenia obcego i każe nam np. »parasol« nazywać »deszczochronem«: »parasol obce słowo, jak tyle innych, nie grzeje ani nie ziębi, ale deszczochron, to grzech przeciwko językowi« (str. 164). Mówiąc o wyrazach złożonych, występuje autor także przeciw »krajobrazom (stary Polak mówił lanczaft albo prospekt) i podobnym bohomazom» (str. 164). Zdaje mi się jednak, że nie można sobie życzyć wprowadzenia na nowo »lanczaftu« zam. »krajobrazu«, jakkolwiek ten nowotwór nie odpowiada istotnie duchowi języka.

Bardzo na czasie są uwagi, odnoszące się do stosunków »polsko ruskich«: »Znane są utyski ruskie na utratę własnego gruntu, na zaborczą zachłanność polską, na sztuki, jakiemi kolonizacya polska narodowość ruską podchodziła. Wszystko to bardzo ładnie, zapominają tylko Rusini, że Polacy właśnie wobec nich, na ich korzyść, znaczne straty ponosili. Zapominają np. Rusini, o czem ich kronikarz bardzo dobrze wie, że Przemyśl i Bełz, grody czerwieńskie, a więc dzielnice nad Sanem i Bugiem były niegdyś polskie, nie ruskie; że dopiero z słabości nadzwyczajnej Polski Mieszkowej (r. 1030) i dzielnicowej skorzystali Rusini, aby czerwieńskie grody zdobyć na Polakach i dawny małopolski żywioł znacznie ścieśnić« itd. (str. 92).

Gdzieindziej podkreśla autor zasługi, jakie położył Kościół, broniąc języka naszego w szkole i z kazalnicy przeciw zalewowi niemieckiemu (str. 88). Niesłuszny jednak jest zarzut, który czyni duchowieństwu, że opierało się rozpowszechnianiu Pisma św. w tłumaczeniu polskiem (119): Pismo św. nie nadaje się w całości na lekturę dla ludzi świeckich, nie posiadających wyższego wykształcenia, jeżeli przekład nie jest całkiem poprawny (a takiego nie mamy niestety dotychczas) i nie jest zaopatrzony dobrym komentarzem. Wiemy przecież, jakie następstwa sprowadzają liczne przekłady protestanckie, jak rozmaite i jak błędne wysnuwa się z nich mniemania!

P.

Dr. J. K. »*Pouczenie o nowej ustawie wyborczej do Rady Państwa*«. Lwów 1907. (Str. 39. Cena 20 hal.).

Broszura ta zapoznaje z nową ustawą wyb. w sposób jasny, treściwy i dla każdego przystępny, zasługuje więc na rozpowszechnienie. Wyszła nakładem księgarni Maniszewskiego i Meinharta we Lwowie.

»*Jakie ma obowiązki Polak-katolik przy nadchodzących wyborach?*« Kraków 1907. (Str. 48. Cena 6 hal.).

Broszurka ta, wydana bezimiennie, zawiera wyborne wskazówki pouczające o obowiązku, jaki spełnić mają przy wyborach do Rady Państwa wszyscy katolicy, jak mają sobie radzić w sporach między stronnictwami i w różnych wątpliwościach wyborczych, przed jakimi ludźmi i praktykami mają się mieć na baczności, jakich kandydatów mają wybierać i jakich używać środków, żeby dobremu posłowi zjednać większość głosów.

X. Józef Kłos „*Arcybiskup Floryan Oksza Stablewski*". Poznań 1907. (Stron 104).

Czcig. Redaktor „Przewodnika katolickiego", na którego głowę sypią się teraz, jak z rogu obfitości, wyroki i kary za to, że z całem poświęceniem broni religii naszej i narodowości, obdarzył nas w tej broszurze doskonale napisanym żywotem ś. p. Arcybiskupa Stablewskiego. Nie wątpimy też, że całe duchowieństwo polskie będzie mu wdzięczne za to dziełko i postara się o jego rozpowszechnienie. *N.*

Miscellanea.

Śluby misyjne.

Niemało kłopotu sprawiają w konfesyonale każdemu spowiednikowi śluby od palonych trunków, składane na misyach. Jedni bowiem penitenci uważają wprawdzie ślub taki za ślub ścisły, ale łamią go, bo ślub masowo składany nie przedstawia im się tak świętym, jak składany osobno przed ołtarzem.

Drudzy nie wiedzą nigdy, co o takim ślubie sądzić; a ponieważ spełnienie go wymaga zaparcia się, więc łamią go dubia conscientia. Innym jakiś spowiednik powiedział, że ślub taki jest tylko przyrzeczeniem, więc, że z miarą trunków palonych używać mogą, ale ich to nie przekonało i zawsze pewne skrupuły czują. Innych wreszcie pouczono znowu w konfesyonale, że ślub taki jest rzeczywiście ślubem i obowiązuje ściśle. Ale i to penitentowi nie trafiło do przekonania, bo słyszał skądinąd, że takich ślubów inni nie przestrzegają i tak jest narażony na pokusę do picia. Czy takie zamieszanie w rzeczach sumienia może wychodzić komu na pożytek? Mojem zdaniem takie masowe i to pod pręgierzem złej opinii składanie ślubu trzeźwości czy abstynencyi nietylko pożytku nie przynosi żadnego, ale owszem szkodę. Tę kwestyę trzeba stawiać jasno. Na misyach gorąco należy zachęcać do trzeźwości a ślubowanie pozostawiać każdemu do woli. Jeżeli kto chce złożyć ślub — owszem, ale niech to uczyni osobno i uroczyście. Będzie wiedział, że ślubował. Jeżeli zaś na misyach składają wierni przyrzeczenie, to trzeba ich pouczyć, do czego się zobowiązują.

Wobec dzisiejszego zamieszania ja stawiam w konfesyonale sprawę tak: Jeżeli penitent ma przekonanie, że ślubował, wkładam na niego obowiązek przestrzegania ślubu pod grzechem.

Jeżeli zaś ma to przekonanie, że nie ślubował, albo, jeżeli go spowiednik jakiś pouczył, że wprawdzie ślubował, ale ten ślub go do zupełnej abstynencyi nie obowiązuje, wtedy pouczam go, aby odtąd nie sądził, że ślubował i żeby tego więcej nie mówił. Co zaś do trzeźwości, to ma być trzeźwym t. j. nie pić nad miarę i bez potrzeby tak, jak każdy człowiek. A najlepiej niech nie pije nic. W każdym razie ślubu, pijąc, nie łamie, bo nie ślubował wcale. Sądzę, że inaczej postępować niepodobna.

W rzeczach sumienia — mojem zdaniem — należy kwestyę stawiać jasno, aby nie przyzwyczajać penitentów do wchodzenia w kompromisy ze sumieniem i aby nie wywoływać zawikłań. *R.*

Notatki z prasy peryodycznej.

W zeszycie marcowym »M u z e u m« b. r. w dziale sprawozdawczym z literatury pedagogicznej angielskiej i angielsko-amerykańskiej znajdujemy na str. 316—317 taki ustęp:

„W literaturze i filozofii — pisze George Brown — zwycięża w ostatnich czasach przekonanie, że religia przestała być czynnikiem kierującym w życiu ludzkiem. Religia (w myśl autora należałoby raczej użyć wyrazu wyznanie) stała się obecnie raczej klubem niż społecznością ludzi, dążących do spełnienia dzieła Bożego na ziemi i wychowania ludzkiej duszy... Tworzenie się religii jest wypływem uczucia i potrzebą serca. W miarę wzrostu kultury wzrasta także odczuwanie ideału Boga, który tworzy istotę wewnętrzną człowieka. Głębokim jest aforyzm Roberta Ingersolla: „Uczciwy Bóg jest najszlachetniejszem dziełem człowieka" (An honest God is the noblest work of man). Tutaj też należy szukać psychicznych pobudek przewrotów religijnych w religijnem życiu ludzkiego plemienia. Dusza ma swój wzrok, a gdy przekroczy panujące wyobrażenia religijne, następuje konflikt, który nieuniknienie wiedzie za sobą walkę, walkę duchowego postępu z bezczynnością konserwatyzmu".

Skąd powstało wyobrażenie Boga? — Podaję dalej myśli amerykańskiego pedagoga. — Od pierwszych rozbłysków inteligencyi ludzkiej. widocznem jest dążenie do zrozumienia wszechświata. Nauka nowoczesna powiada, że wszystko jest jedną organiczną całością, ale nie zna substancyi (istoty) lecz tylko zjawiska. Do zjawisk tych należy także człowiek, który w życiu własnem i pokoleń wymarłych dostrzega wzrok duszy, wzrok samoświadomości równocześnie z coraz dokładniejszem pojmowaniem zjawisk wszechświata. Religia wzrastające to źródło świadomości odziała w kształty osobiste i przyznała mu własność doskonałej wszechświadomości. Z pojęciem tem ściśle się łączy idea najdoskonalszej dobroci, co niegdyś pięknie określił Plato: Bóg jest istotą bez zawiści.

Tak pojmowany ideał czystego Boga nie powinien być obcym szkole, która musi rozwijać młodzież jednolicie, a więc wykształcić jej zasoby umysłowe i uczuciowe. Pedagogowie amerykańscy (T. A. Mott) podkreślają tę jednolitość wychowania. „Można rozprawiać osobno, powiada jeden — o ćwiczeniach (training) religijnych, moralnych, intelektualnych i fizycznych, lecz nie ma prawdziwie religijnego czy moralnego wychowania, któreby się oddzielić i odłączyć od wychowania umysłowego i fizycznego". Nie znajdzie tego w żadnej organizacyi wyznaniowej, lecz człowiek sam musi zdobyć ten ideał Boski, a szkoła powinna go odpowiednio przygotować".

Trudno w niedługim ustępie nagromadzić więcej niejasności i płytkości i niczem nie uzasadnionego utożsamienia wszelkich religii. I po co? Po to, żeby wszelkie religie, nie wyłączając prawdziwej, Chrystusowej, uznać za przestarzałe formy a bezwyznaniowość ubrać w togę »naukowości« i przypisać jej najgłębsze odczucie religii, właśnie dlatego, że ona odrzuca wszelką organizacyę wyznaniową i przeczy istnienia Boga osobistego!

Czy sprawozdawca (Dr. J) uważa na prawdę czytelników tego pisma za ludzi tak miernej inteligencyi, że im tego rodzaju wywody »naukowe«, choćby importowane z Ameryki, mogą zaimponować? *X. M. J.*

Do tej notatki dodajemy drugą, żeby nam nie zarzucono, że pomijamy milczeniem poważne i cenne artykuły, ogłaszane w »Muzeum«. W tym samym zeszycie znajdujemy na czele rozprawkę bardzo godną czytania p. n. „W a l k a o j ę z y k p o l s k i w z a b o r z e p r u s k i m".

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska ob. łać.

We czwartek dnia 4 kwietnia odbędzie się wspólna a d o r a c y a N. S a k r a m e n t u od godz. 6½ w kość. św. Marcina we Lwowie.

Venite adoremus!

Dyecezya przemyska ob. łać.

Instytuowani: ks. Antoni T e n c z a r na probostwo w Łączkach, ks. Jan S z a ł a y k o na probostwo w Drohobyczu, ks. Woj-

ciech Owoc na probostwo w Starejsoli, ks. Feliks Pawłowski na probostwo w Czyszkach, ks. Edward Sandałowski na probostwo w Sarzynie.

Egzamin konkursowy na proboszcza złożył extra terminum z pomyślnym wynikiem ks. Andrzej Trzyna, administrator w Harcie.

Zamianowany ks. Leopold Augustyn, katecheta przy szkole ludowej 5 klas. w Sokołowie, katechetą szkoły wydziałowej męskiej im. Piotra Skargi w Jarosławiu, w miejsce ks. Franciszka Macha, który dla poratowania zdrowia został uwolniony od obowiązków katechety.

Zrezygnował z probostwa w Górnem ks. Karol Wolwowicz.

Prezentę na toż probostwo otrzymał ks. Franciszek Bielawski, wikary w Kosinie.

Przeniesiony ks. Stanisław Ruciński, dotychczasowy administrator w Czyszkach, na posadę wikarego w Leżajsku.

Zmarł ks. Jan Nawrocki, proboszcz w Birczy. R. i. p.

Dyecezya krakowska.

Odznaczeni: Roch. et Mantol. ks. Jan Fiedor, dziekan i prob. w Droginі, ks. Antoni Dobrzański, prob. w Myślenicach. — Exp. can.: ks. Feliks Mikoszewski, prob. w Wiśniowej i ks. Dr. Józef Caputa, prob. przy kość. św. Anny w Krakowie.

Instytuowani: na probostwo w Makowie ks. Józef Leja, dot. expozyt w Straconce; na probostwo w Głogoczowie ks. Józef Sandacz, dot. wikaryusz parafii św. Mikołaja w Krakowie.

Przeznaczeni: ks. Jan Krzeszowski, admin. w Makowie, na expozyta do Straconki, ks. Jan Surowiak, admin. w Głogoczowie, na wikaryusza przy kość. św. Mikołaja w Krakowie.

Zamianowany stałym katechetą w Dobczycach ks. Wojciech Górny.

Święcenia kapłańskie otrzymali dnia 24. marca b. r. w Krakowie z rąk Najprzew. ks. biskupa Anatola Nowaka następujący członkowie Tow. Jezus.: Ludwik Rudnicki, Dezyderyusz Stracke, Józef Machowski, Maxymilian Piechocki, Jan Rusinowicz, Sebastyan Twardy i Józef Sawicki.

Dyecezya tarnowska.

Instytuował się na prob. w Gręboszowie ks. Piotr Halak, prob. z Trzciany.

Zamianowany administratorem w Trzcianie ks. Stanisław Nowak, administrator w Gręboszowie.

Przeniesieni: ks. Ludwik Czapieński z Trzciany do Lisiogóry, ks. Zygmunt Gacek z Lisiogóry do Gręboszowa, ks. Jan Kowal z Woli Rzendzińskiej do Tuchowa, ks. Antoni Kurasiewicz ze Starego Sącza do Woli Rzendzińskiej.

Prezentowani: na probostwo w Strzelcach ks. Józef Slazyk, na probostwo w Pogwizdowie ks. Fr. Siedlik.

Konkurs na probostwo w Trzcianie do 20. kwietnia 1907.

Wincenty Kuczabiński

Lwów, ul. Kopernika l. 2.

poleca

FIGURY DO BOŻYCH GROBÓW, ZMARTWYCHWSTANIA i FERETRONY DO NOSZENIA.

KRZYŻE I CHORĄGWIE PROCESYJNE,

oraz wszelkie naczynia i paramenta kościelne

w najlepszym gatunku, po cenach niskich.

Organista umiejący prowadzić śpiew chóralny z nut, otrzyma natychmiast posadę. — Zgłoszenia z podaniem warunków do *ks. kanonika Kwoczyńskiego* w Chodaczkowie Wielkim — poczta w miejscu.

Zakład rzeźby artystycznej

WOJCIECHA SAMKA

W BOCHNI

odznaczony medalem na wystawie krajowej we Lwowie 1894 r.

i złotym medalem na wystawie w Tarnowie 1905.

wykonuje **figury Świętych z drzewa**, wobec których nie potrzeba sprowadzać wyrobów zagranicznych, **ołtarze, feretrony** i wogóle wszelkie roboty rzeźbiarskie. **Figury Świętych przy drogach i pomniki** z kamienia, marmuru i granitu. Przyjmuje wszelkie odnowienia i reperacye.

Na żądanie wykaże się licznemi świadectwami WW. Duchowieństwa i pp. Architektów.

Celem przekonania się, że wyroby moje są lepsze od zagranicznych proszę zrobić zamówienie. Nie brak nam rąk do pracy, niechże więc grosz zostanie w kraju zamiast wędrować zagranicę.

Zamiast wypisywać pochwały, że wyroby Pana Samka lepsze, od zagranicznych, oświadczam się z gotowością zapłacenia kosztów podróży każdemu do Mariahilf w Kołomyi celem oglądania ołtarzy, zrobionych przez Pana Samka, jeżeli uzna, że roboty zagraniczne są lepsze od Samkowych.

Ks. Karol Przyborowski.

Organisty kawalera poszukuje klasztor OO. Bernardynów w Krystynopolu. Bliższych informacyi udziela przełożony miejscowy.

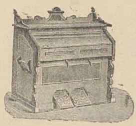
Odznaczona pierwszemi nagrodami

Krajowa fabryka organów i fisharmonium

MIECZYSŁAWA JANISZEWSKIEGO

Lwów, ul. Szpitalna l. 36

ucznia i długoletniego współpracownika ś. p. Jana Śliwińskiego.



Buduje organy z całą sumiennością według najnowszych systemów, fabryka jest w posiadaniu licznych pochwał znakomitych wirtuozów i najkompetentniejszych osób za budowę trwałych i pięknych w tonie organów.

Fabryka zorganizowała najlepsze siły znanej firmy ś. p. Jana Śliwińskiego, oraz zakupiła wszelkie maszyny, narzędzia, przybory, materyały suche, resonansy i t. d., przeto jest w możności zadość uczynić wszelkim wymogom, za cenę najprzystępniejszą.

Czarny kapelusz florentyński

Odszczególniony uznaniem Jego Świąt. Piusa X.

Prawnie zastrzeżony.



Przez Przew. Duchowieństwo wielokrotnie za doskonały kapelusz letni uznany, waży tylko 75 gr., Nosi się bardzo przyjemnie — lekko i chłodno. Cena 6 K. 50 h. Opakowanie 60 h. Wysyłka za zaliczką, albo za poprzedniem nadesłaniem należytości. Przy zamówieniach proszę o objętość głowy w centymetrach.

Każdego fasonu i formy dostarcza się na zamówienie.

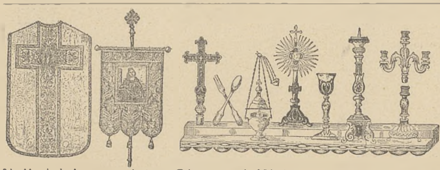
Ferdynand Rom, fabryka kapeluszy słomkowych i filcowych, Graz, I. Engegasse 2.

Kapelusze u mnie kupione odlakieruję bezpłatnie, skoro zostaną mi przysłane pocztą opłacone do Grazu.

Tow. Producentów **WIN TOKAJSKICH** dostarcza wprost z Tokaju **wina 3-let. „Samorodnego"**

w beczkach wypożyczanych	w butelkach
56 litrów za 60 koron	**20 flaszek 0·7 litrowych za 26 koron**

franko do stacyi zamawiającego.



J. WYPASEK

we Lwowie ul. Krakowska 3.

poleca Wielebnemu Duchowieństwu swoją odznaczoną medalami srebrnemi

Pracownię brązowniczą

i skład wszelkich przedmiotów i przyborów kościelnych własnego wyrobu

ze złota, srebra, chińskiego srebra (alpaka), bronzu itd. wykonanych trwale, gustownie, po cenach najsumienniejszych.

Najładniejszy wybór: Chorągwi, Welonów, Monstrancyi, Relikwiarzy, Kielichów, Puszek, Pająków, Lamp, Żelazek do pieczenia opłatków.

Dla domu i kuchni. Każda gospodyni jest dumną, jeśli może podać na stół możliwie dobrą smaczną kawę. Szczególniej u nas uważa się na to, i dlatego Austrya ze swej dobrej kawy jest słynną. Z tego względu więc będzie pewno podwójnie pożądanem, jeśli wskażemy na nowy sposób przyrządzania, który okazał się znakomitym. Prawie w każdej familii używa się teraz Kathreinera Kneippowskiej kawy słodowej. Otóż przyrządza się ją w ten sposób, że się ją miele, wsypuje do dość wielkiego garnuszka, polewa zimną wodą i gotuje aż do kipienia. Potem jeszcze 5 minut zostawia się ją na ogniu, a gdy się ostoi, polewa się powoli zwykłą kawę ziarnistą, mieloną w maszynce. Jeśli w domu nie ma maszynki, to wsypuje się poprostu mieloną kawę ziarnistą do kipiącej kawy słodowej. Potem się dobrze zamiesza i pozostawia jeszcze parę minut, aby kawa naciągła, a następnie przecedza się starannie. Najlepiej zmieszać pół na pół kawę zwykłą z kawą Kathreinera. Celem większej oszczędności, można domieszkę Kathreinera stopniowo zwiększać, a brać mniej kawy zwykłej. Dla dzieci, chorych i osłabionych zaleca się przyrządzanie czystego Kathreinera bez domieszki kawy zwykłej. Polewa się Kathreinera zimną wodą i dobrze zagotowuje. Mały trud przyrządzania opłaci się sowicie, gdyż chorzy i osłabieni doznają w krótce widocznego wzmocnienia, a dzieci nabiorą kwitnącego wyglądu.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Ks. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni katolickiej J. Chęcińskiego, pl. Bernardyński 2.